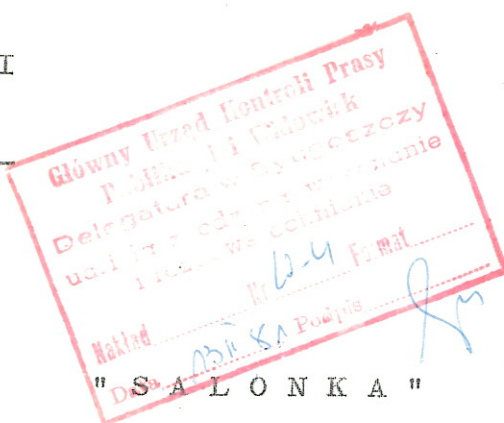


Jerzy SULIMA-KAMIŃSKI

Red. Literacka

007
Data: 15.02.1981 r.

Godz.: 16.05 - 17.30



Ojciec upchnął mnie z matką i z tym bratem czy też siostrą -
jeszcze nie wiedzieliśmy co to będzie - do piwnic nowozbudowanego
domu Melechów. Dom jest usytuowany na przeciwko naszego, w dawnym
ogrodzie Apeltów i przylega frontem do ulicy Naruszewicza, ponoć
biskupa. Jesteśmy dobrze asekurowani. Nasze mieszkanie w starej
kamienicy stoi po ochroną królowej Jadwigi, świętej przecież.
Biskup Naruszewicz i królowa Jadwiga to rękojmia bezpieczeństwa nie
tylko naszego, ale i całej dzielnicy.
- Nasz Viertel - powiada ojciec - to się ale dobrze pod tym wzglę-
dem urządził. W sąsiedztwie jest jeszcze ulica Długosza, też jak
się mówi, błogosławionego czy coś w tym rodzaju. - Ale na starego
kanonika ojciec najmniej liczy; bliższy on Wawelowi niż niebu.
Tak czy inaczej, z błogosławieństwem bożym czy bez, mamy siedzieć
w sklepie cicho i do nikąd nie wychylać nosów. Z maskami przeciw-
gazowymi na podorędziu mamy czekać rychłego pojawienia się Francuzów
albo Anglików. On tymczasem będzie pełnić straż w garbarni Bucholza
razem z tymi czterema, których ma pod sobą.

Będą pilnować porządku, żeby nikt nic nie ukradł, nic nie zdemolował, czy nie puścił garbarni z dymem pożaru. Bo skąd by potem wzięli zelówkową skórę na ojcowy deputat? Więc nie lękać się, robić co w takich momentach robić trzeba i czekać na dobry koniec.

Jak już będzie po wszystkim, to do nas przyjdzie i da nam znać co i jak.

Piwnicę nazywa się teraz "schronem"; wszystkie okienka zostały szczelnie zasłonięte skrzyniami z piaskiem. Boksy wyglądają niczym składy konfitur. Albo jak przedziały luksusowych salonek. Dywany i słoiki z zaprawami. Węgiel i puchowe kołdry. Kartofle i fotele. Kufry, walizy, toboły. Nie jesteśmy tam pierwsi. Ojciec rozbił siekierką kłódkę od boksu rotmistrzostwa Oborskich. Wyjechali więc ich nie ma, obecni są ważniejsi. Przy świadkach zamachnął się siekierą. Nic im tutaj nie zginie, a my co będziemy mieli wygodny ką, to będziemy.

Pan Batko zaniósł do piwnicy wszystko co miał w kiosku. Nawet gruszkę z lampy przed kioskiem. Ale najważniejszy jest syfon z wodą sodową, wielki jak tlenowa butla. Pan Batko częstuje wszystkich tą wodą jak szamponem. Całkiem gratis.

I chce żeby sobie ludzie nic złego nie myśleli o pani Emmie, jego żonie. To co, że przed miesiącem wróciła z Berlina? Nie jest żadnym szpiegiem, tylko ma tam rodzinę, brata i bratową z bratankiem.

Do Berlina jeździła co roku to i w tym pojechała; kto mógł przewidzieć, że tak razem wypadnie to coje? Pani Emma jest w poniedziałek i to myśl! o niej inaczej, ten jest w tragicznym błędzie.

Ludzie w piwnicy milczeli albo przytakiwali panu Batce.

Bo przecież wiadomo, że taka pani Emma nie nadaje się na szpiega.

A pan Batko słynie z uczciwości w swoim kiosku. Nawet ojciec popiera ten sąd o Batkach, choć ma przecież z nimi na pieńku. A to przede mną. Tak im tupałem nad głowami, że pani Emmie uszy od tego pękały. I mówił ojciec Batce nieraz: - Ja, Władych, mój syn nie anioł, fruwać nie umie. Jak ci się nie podoba, zmień lokal. Moja to wina, że wciągnąłeś do mieszkania piętro niżej, akurat pod naszym? - Ojciec z panem Batką mówili sobie "ty", bo znają się jeszcze het, z policji wodnej, tajnej i porządkowej. Ale potem zaniemówili na ładnych parę lat i dopiero w tym pierwszym dniu wojny nagle odżyła ich stara komitywa. Batko wypycha ojcu kieszenie Damskimi, Płaskimi i Mewami, choć ojciec najchętniej pali fajkę. Ale bierze co mu los nastrecza. Bo nie wiadomo jak się wszystko potoczy, a co jest w kieszeni to jego.

Piwnica jest towarzyska i dobrze wychowana. Ludzie parzą sobie kawę, kręcą kogiel mogiel i zajadają się pralinkami pana Batko... - Co moje to i wasze - kochani państwo - mówi i kordialnie rozkłada ramiona. Rozmowy toczą się salonowe i tylko brak jest fortepianu i muślinowych firanek. Jedynie ta moja chuda matka z tym swoim grubym brzuchem zaszyła się w poduszki i niewidoczna dla nikogo, cicho odmawia różaniec w boksie rotmistrzostwa Oborskich. Mówi się o tym, jak to w dwudziestym wkroczyli do Bydgoszczy Polacy. O mszy polowej świętej na rynku marszałka Piłsudskiego, gdzie kano- nierzy oparci o lufy austriackich haubic, ślabizowali z modlitewni- ków słowo boże pałskie. I że jeśli wtedy wygraliśmy wojnę kiedy byliśmy słabi i rozdarci, to tym bardziej teraz kiedy jesteśmy silni, zvarci i gotowi, nie damy sobie krzywdy zrobić. Nastrój jest dobry, nawet pogodny choć nieco nerwowy.

W mieście spokój. Po nalocie na ekspedycję towarową i dworzec cisza zalegała w powietrzu, cisza śmiertelna. Telefunken państwa rotmistrzostwa Oborskich nadaje mazurki Chopina. Ale muzykę prze- rywa się co chwila i spiker podaje jakieś tajemnicze cyfry, podob- no ważne wojskowe szyfry.

Nie one nas niepokoją, tylko owe słowa pełne niezrozumiałej groźby: - "Uwaga, uwaga, nadchodzi"...

Ale to tylko słowa; wokół nie dzieje się nic co by nas mogło przerazić. Ojciec jak wahadło balansuje pomiędzy garbarnią a naszą piwnicą. Miasto jest jakby uśpione - powiada - na ulicach tylko psy i policyjne patrole. Cywile, tak jak i my, powsiąkali w piwniczne lochy. Ale martwota jest złudna. Miasto żyje i sposobi się do samoobrony... Ojciec ze swojej garbarniano-schronowej perspektywy może tego nie widzieć. Sumiennie obchodzi fabrykę, zagląda do wszystkich dziur, wnęk i uchyłków szukając ukrytych ładunków zapalających, broni i dywersantów. Firma Bucholz, gdyby była przedsiębiorstwem polskim, byłaby dumna z takiego komendanta straży przemysłowej jak mój ojciec. Wszystko gra tam jak w zegarku. Ludzie ojca sprawują się czujnie i karnie. Trzyma ich krótko, po wojskowemu. Pod ich baczeniem powoli i bezpiecznie stygną piece i kotły i leniwie siąpi oliwa z panewek nieruchomych maszyn. Tylko konie w stajni, ciężkie transportowe belgi, wybijają kopytami hołubce i kajdaniarsko targają łańcuchami. Co i rusz któryś z ludzi ojca zagląda do stajni i sypie szuflą obrok do żłobów. Konie są niespokojne i ten ich niepokój niepostrzeżenie udziela się strażnikom garbarni.

107

Z nad rzeki, z nad Brdy, stamtąd może nadejść dywersja. Garbarnia przylega swą północną granicą do nabrzeża rzeki. Tam przybijają berlinki z Bremy portu i z Berlina z ładunkami garbarskich chemikaliów. Stamtąd też zabierają gotowe skóry. Bramę i furtę nadbrzeżną mają strażnicy dobrze na oku.

Noc mija spokojnie. Poprzez sztachety piwnicznych przepierzeń kładą się krwawe smugi wiecznej lampki. W sąsiednim boksie cichą strużką ciurka modlitwa i zuchwale tyka budzik. Moja matka leży wyciągnięta na pościeli jak umarła. W jej otwartych oczach błyskają czerwone ogniki oliwnej lampki. Tuż przy mnie, za przepierzeniem sąsiedniego boksu, chrapie osierocony pies rotmistrzowstwa Oborskich. Przetynam rękę przez sztachety i wczepiam palce w ciepłe kudły zwierzęcia. I tak, przetaczam się wraz z naszą salonką w drugi dzień wojny.

Mówią ludzie nad ranem, że gdzieś, ale to bardzo daleko, na samym kresie horyzontu - grzmiało. Późne jesienne burze to nic nadzwyczajnego. Ten wrzesień jest przecież bardzo gorący.

Ojciec pojawia się z uspokajającą wieścią: wszystko w porządku. Tylko nasz most królowej Jadwigi jest podminowany. To nic.

169

Jak jest wojna to trzeba mosty minować. Możemy się nie obawiać, na pewno nie wysadzą go w powietrze, bo saperzy dobrze wiedzą czym to grozi najbliższym stojącym kamienicom. Nam też mogło by się dostać, a państwo nie ma pieniędzy na płacenie odszkodowań.

W mieście czuwa policja i wojsko. Otwarto niektóre kolonialki, piekarnie pieką chleb.

Idziemy umyć się do satereny Grzybowski. Ci mają dobrze!

Przez całe życie mieszkają w schronie nawet o tym nie wiedząc.

Pan Batko stoi w kuchni na stołku i podłącza do lampy radio rotmistrzostwa Oborskich. Teraz przynajmniej nikt nie zaplata się w druty. W pralni kuchną panią w białych fartuszkach. Pachnie mocą i odświeżoną bułeczką. Pani Radzikowska z pierwszego piętra częstuje ojca kawą. - Istny piknik - mówi ojciec - istny piknik. - Popija kawkę z cienkiej chińskiej porcelany; jego palce minoderyjnie ujmują kształtem ucho filiżanki. Cmoka z zachwytem. - Klasa! Dziękuję paniom za poczęstunek. Idę, służba nie družba. - Poprawia na brzuchu kaburę z dziewięciostrzałowym walterem nabytym kilka miesięcy temu w firmie "Hubertus" za pieniądze Bucholza. Wstępuje jeszcze do naszego boksu, do matki i kładzie rękę na jej czole. Matka leży otępiała.

- Nie masz febry, ocknij się. Daj dziecku jeść. - Całuje mnie w policzek i już go nie ma.

Mała Melechówna przebiega z listem przez podwórko. Ten list to do pana Batki. Mama Melechowa prosi go, aby objął pieczę nad domem. Chętnie by się do nas przeniosła; większe tu wygody i bezpieczniejsze, ale musi pilnować tej kamienicy od frontu. Sama została z córką, mąż na wojnie, tak jej przyszło. Nie wie co to jest, że lokatorzy Niemcy nie chcą zejść do schronu. Stary Nitz z Nitzową i Wiendorfka. Bóg z nimi, namawiała ich przecież, za nic nie odpowiada.

Staram się być najbliżej Melechówny, ale oddziela mnie od niej nieprzenikliwy tułów pana Batki. Za to udaje mi się dotknąć jej granatowej plisowanej spódniczki. Jest mi tak jak wczoraj, gdy pieściłem dobrego psa państwa Oborskich. Odprowadzam Melechównę do drzwi, ale ona tego nie dostrzega. Śmiga przez podwórko jak goniona sarna. Chcę żeby wracała tu często i na długo. Żal mi jej. Boże, jak bardzo mi jej żal! Jeszcze dwa dni temu dyndały na trzepaku piechocińskie gacie jej ojca i roniły z troków mydlane łzy. Dziś gdzie jest pan Melech?.

W południe zeszły do schronu stare panny Sobeckie. Przyniosły z sobą krzeselka, klatkę z kanarkiem i koszyk z włóczką.

Robią na drutach skarpety - dar serdeczny dla wojska. Pan Batko częstuje siostry wodą sodową. Piją z wdzięcznością drobnymi, wsty-
sliwymi łyżkami. Pani Radzikowska z naszego pierwszego piętra przymierza Dzidkowi tampon przeciwgazowy. Bliźniaczki Sobeckie znajdują ~~się~~ w nim mnóstwo usterek; rzucają druty i biorą się za tampon. Można im zaufać, są mistrzyniami gorseciarskimi. Martwią się o swój interes przy ulicy Gdańskiej. Sklep, maszyny, surowce i gotowe wyroby. Oczywiście, kasę zabrały z sobą. Chcą skoczyć, zobaczyć czy wszystko tam w porządku. Ale same w to nie wierzą, że pójdą. Boją się, strach wyziera im z oczu. One jedne chyba nie stroją z siebie bohaterek. No i moja matka. Panie mówią, że niedługo się pewnie u niej zacznie. Ale co? Co się zacznie?

Nie rozstaję się ze swoim tornistrem. Spędziłem z nim noc jak ułan z kulbaką... Leży pod poduszką, która teraz cała przesiąknęła zapachem garbowanej skóry. Jest w nim mapa Afryki, wycięta z ojcowej encyklopedii, harcerski kompas i latarka na trzy baterie. Także gwizdek. Naturalnie, elementarz i zeszyty też. W razie czego mogę ruszać w świat i nie zabłądzę. Gdyby nie wojna, byłbym już dziś po raz drugi w szkole. Tak samo Dzidek od Radzikowskich z pierwszego piętra. Pan Batko uważa, że w ten sposób wojna przedłuża nam dzieciństwo. A szkoła nie ucieknie. I czy chcę wody sodowej?

Wieczorem wraz z ojcem dociera do naszych salonków niesamowita wieść. Od Zachodu, ulicą Grunwaldzką, ciągną ponoć jacyś ludzie. Pieszko, furmankami, na rowerach. Toczą się ręczne i dziecięce wózki. W tłum wniezione są krowy, owce i cielęta. Nawet kozy.

W salonkach pomilkło. Bliźniaczki Sobeckie zegnają się, po-
bladłe. - Znają to - mówią - z siedemnastego, na Ukrainie... -
Matka targa koronkową chusteczkę i porusza wargami jak do modlitwy.
Pani Emma szeroko rozwarła oczy i słucha chciwie reakcji ojca.
Pan Batko wyciąga z kamizelki zegarek na plecionej srebrnej dewiz-
ce. Mówi jakby do nikogo, tylko do cyferblatu:
- Trochę to za wcześnie...

A ojciec na to że co, że na co za wcześnie? Nic nie jest za
wcześnie, wszystko w sam raz. Do przygranicznej Piły jest tych
kilkadziesiąt kilometrów, nie tak daleko znowu od nas i wojsko
wie co robi. Oczyszcza się front z cywilów a co? Mają w naród
walić? Powinni byli zrobić to wcześniej a nie dopiero teraz ^{opty} fala
ruszyła. Cywile nie mają nic do roboty na froncie, tylko przeszk-
dzają. On /ojciec/ chociaż stary torpedowy marynarz a nie jakiś
tam infanterysta w zabłoconych kropusach, też by tak zarządził.

Porządek na froncie musi być.

Przez podwórko wyprawiają się do nas Melechowa z Melechówną. Badają sytuację. Uciekać czy nie uciekać? Wszyscy uciekają. Ojciec na nią z wielką buzią. Z dzieckiem? Uciekać? Dokąd?! Siedzieć i nie ruszać się. Propagandę sieją, a głupi ludzie wierzą. W mieście są chociaż muły, a na drogach co? Gdzie tam człowiek głowę skryje?

Pan Batko włącza telefunkera. - Państwo wybaczą - powiada - ale posłuchamy co gada druga strona. Nasi to tylko "uwaga, uwaga, nadchodzi", ani się jest z tego głupim ani mądrym. - I kręci pokrętkiem, a aparat jak skwarka na patelni. - Antena do jej - wtrąca się ojciec. A pan Batko że nie, że antena może być, tylko uziemienia brak; nie ma się gdzie doczepić. Łapie jakąś niemiecką stację, po muzyce poznają że niemiecka, marsz za marszem. Potem słowa, wiele tych słów krzykliwych, krzyczących, z których rozróżniam tylko dwa: Pommern i Konitz... - Tjaaaa - załamuje ręce ojciec - Chojnice?! Czy to możliwe? Pod Chojnicami już są?! - Dlaczego nie - mówi pan Batko - To blisko granicy.

Moja matka spleta ręce na brzuchu, ciężkim jak kosz z jabłkami. Spogląda na mnie przejmująco i tragicznie. Czyżbym już umarł?

Pani Radzikowska z pierwszego piętra tuli do siebie ondulowany w morskie fale łeb Dzidka. - Nasz ojciec - mówi łamiącym się głosem - nasz ojciec tam jest... gdzieś tam się bije... - Pani Emma zapala damskiego, a bliźniaczki Sobeckie, jak dwie kukielki na jednym sznurku, wstają z krzeseł, odkładają wólczyki i mówią - jedna: czas się zbierać - druga - idziemy. - I wychodzą. Za nimi w spazmach i dygotach Melechowa ciągnie za sobą małą Melechównę. A ta przygryza koniec swego warkocza, spogląda na mnie i robi perskie oko. Wyć mi się chce.

Nikt nie zatrzymuje kobiet, wszyscy są jak słomiane chochoły. - Co robić? Co robić? - histeryzuje pani Radzikowska i dusi Dzidka tamponem przeciwigazowym. Pan Batko odrywa tampon od ust chłopca i proponuje wszystkim wodę sodową. A ojciec, że to radio ^{to} jeden humbug i nic więcej. Coś mu się nie zgadza, coś jest chyba nie tak. Dywersja i koniec. A nawet jakby już naprawdę byli pod tymi Chojnicami, to to też jeszcze nic nie znaczy. Chojnice to dopiero początek Polski, nadejdą posiłki, Anglia, Francja ruszą, zaraz się sprawa wyjaśni. A my? Cóż my? Musimy siedzieć w piwnicy i czekać, pan Bóg nas nie opuści.

Przesuwa kaburę z walterem na brzuch i podciąga wyglansowane cholewy. Wygląda na to, że ojciec idzie wygrać tę wojnę; jest dziarski, nawet buńczuczny, aż za bardzo. Pan Batko uśmiecha się wyrozumiale, nic nie mówi. Dzidek siedzi na kolanach swojej matki Radzikowskiej, a pani Emma puszcza zaślone dymną z damskich płaskich - Służba - powiada ojciec - służba. - Poklepuje matkę po ramieniu a mnie przyjaźnie szturcha łokciem w łopatkę. - Trzymajcie się Państwo i bez paniki. Ja tu będę zaglądał ile razy się da.

I wychodzi ojciec. Jego linię frontu wytycza parkan garbarni Bucholza. Razem z tymi czterema, których ma pod sobą, będą sypać koniom obrok do żłobów i pilnować porządku. Pięć dziewięciostrzałowych walterów stanie w razie czego w naszej obronie. Garbarnia przecież tak blisko...

I ta noc mija spokojnie. Wieczna lampka tli się krwawo i rzuca na ściany ponure cienie sztachet piwnicznych przepierzeń. Syczy zawór w syfonie pana Batko. Cicho klekocą paciorki różańców i szemrze potok zdrowasiek. Palce matki drapieźnie wgrzyzają się w pierzynę. Leżę przytulony do psa państwa rotmistrzowskiego Oborskich. Woń jego kudłów i równy, spokojny oddech zwierzęcia oddziałują przyjaźnie. Zasypiam w tę pierwszą wojenną sobotę prawie szczęśliwy.